

EWANGELIZACJA W MOCY

John Wimber

Skończył się długi dzień usługiwania i byłem wyczerpany. Właśnie zakończyłem nauczanie na konferencji w Chicago i leciałem na inne spotkanie do Nowego Jorku. Oczekiwałem na lot z nadzieją, że będę mógł przez kilka godzin odpocząć. Ale nie miała to być spokojna podróż bez przygód, na jaką liczyłem.

Zaraz po starcie odchyliłem fotel do tyłu i rozluźniłem pas, przygotowując się do odpoczynku. Moje oczy błądziły po kabinie bez celu. Po drugiej stronie przejścia siedział mężczyzna w średnim wieku, z wyglądu sądząc biznesmen. Nie było w nim nic niezwykłego albo godnego uwagi. Ale w ułamku sekundy, kiedy moje oczy na nim spoczęły, zobaczyłem coś, co mną wstrząsnęło.

Na jego twarzy wyraźnie zauważyłem napis: „cudzołóstwo”. Zamrugałem powiekami, przetarłem oczy i spojrzałem jeszcze raz. Litery nadal tam były: „cudzołóstwo”. Widziałem to słowo nie moimi oczami naturalnymi, ale duchowymi. Jestem pewien, że nikt inny w samolocie tego nie spostrzegł. Duch Boży coś mi przekazywał. Fakt, że było to duchowe widzenie, wcale nie czynił tej rzeczywistości mniej realną.

Mężczyzna zauważył, że mu się przyglądam, a właściwie gapię się na niego.

— Czego pan sobie życzy? — rzucił.

Gdy przemówił, w moich myślach pojawiło się imię kobiety. To znałem już lepiej, Duch Święty przywołał mi na myśl różne rzeczy już przedtem. Trochę zdenerwowany, nachyliłem się przez przejście i zapytałem:

— Czy imię Jane (imię zmienione) mówi coś Panu? Jego twarz zrobiła się szara jak popiół.

Musimy porozmawiać — wyjąkał.

Byliśmy w jumbo-jecie, w którym na pięterku znajduje się mały barek. Kiedy szedłem za nim na górę po schodach, czułem, jak Duch znowu do mnie mówi: „Powiedz mu, że jeśli nie odwróci się od cudzołóstwa, zabiorę go.

Wspaniale. A pragnąłem tylko przyjemnego, spokojnego lotu do Nowego Jorku. Teraz oto siedziałem w barku z mężczyzną, którego nigdy przedtem nie widziałem, którego nazwiska nawet nie znałem i miałem mu powiedzieć, że Bóg odbierze mu życie, jeśli nie zaprzestanie romansu z jakąś kobietą.

Siedzieliśmy w pełnym napięcia milczeniu. Przez chwilę spoglądał na mnie podejrzliwie, a potem zapytał: — Kto panu powiedział to imię?

— Bóg — wyrzuciłem z siebie. Byłem zbyt wstrząśnięty, aby szukać łagodniejszego wprowadzenia tematu.

— Bóg Panu powiedział?! — prawie wykrzyknął. Tak był zaszokowany tym, co powiedziałem.

— Tak — odpowiedziałem. — Powiedział mi też, że ... że jeśli nie zerwie Pan tego cudzołożnego związku, to straci Pan życie.

Przygotowałem się na obronę i pełną złości reakcję. Ale ku mojej uldze, w chwili gdy mówiłem, opuściło go obronne nastawienie, a jego serce zostało skruszone. Zdławionym, pełnym desperacji głosem zapytał: — Co mam robić?

W końcu znalazłem się z powrotem na znajomym gruncie. Wy tłumaczyłem mu, co znaczy opamiętanie i zaufanie Chrystusowi i zaprosiłem do wspólnej modlitwy. Złożyliśmy ręce i zamknęliśmy oczy. Zacząłem cichą modlitwę:

— O, Boże... Wypowiedziałem tylko tyle. Przekonanie o grzechu, które w nim narastało, zdawało się go rozsadzać. Zalewając się łzami zawołał:

— O, Boże, wybac mi... — i popłynęła jedna z najbardziej przejmujących modlitw oddania się Bogu, jaką słyszałem w życiu.

W tak małym pomieszczeniu trudno było ukryć to, co się działo. Wkrótce już wszyscy w barze dokładnie znali grzeszną przeszłość tego człowieka i jego obecną skruchę. Stewardessy płakały razem z nim! Gdy skończył modlitwę i odzyskał panowanie nad sobą, przez chwilę rozmawialiśmy o tym, co się z nim stało.

— Byłem tak zdenerwowany, kiedy wspomniałeś to imię — wytłumaczył, — ponieważ obok mnie siedziała żona. Nie chciałem, żeby coś usłyszała.

Chyba niezbyt mu się podobało to, co mu powiedziałem za chwilę:

— Będziesz musiał jej to powiedzieć.

— Ja? — zaoponował słabo. — A kiedy?

— Najlepiej zrób to od razu — powiedziałem łagodnie.

Perspektywa rozmowy z żoną była nieco zatrważająca, ale sam widział, że nie ma innego wyjścia. I znów szedłem za nim w dół po schodach na nasze miejsca. Z powodu hałasu silników nie słyszałem rozmowy, ale widziałem wielkie zaskoczenie żony. Zaskoczenie nie tylko wyznaniem o niewierności, ale całą opowieścią o tym, jak nieznajomy siedzący po drugiej stronie przejścia został posłany przez Boga, by ostrzec go przed konsekwencjami tego grzechu. Jej oczy robiły się coraz większe ze zdziwienia (a może i strachu!). (W miarę jak toczyła się niezwykła opowieść, patrzyła na męża, na mnie i znów na męża i na mnie). W końcu człowiek ten przyprowadził swoją żonę do Chrystusa, tam na miejscu, w samolocie.

Kiedy wysiedliśmy z samolotu w Nowym Jorku, nie mieliśmy wiele czasu na rozmowę. Nie mieli Biblii, więc podarowałem im swoją. A potem się rozeszliśmy.

Może się to zdawać niezwykłym, jeśli nie dziwacznym wydarzeniem, a jednak mógłbym opisać setki podobnych z własnego doświadczenia i z przeżyć innych ludzi, których znam.

Spotkania tego typu nazywam ewangelizacją w mocy i wierzę, że był to jeden z najbardziej efektywnych środków ewangelizacji w pierwszym Kościele. Co więcej, ewangelizacja w mocy odbyła się w czasach wielkiej odnowy i ekspansji misyjnej, opisanych w historii Kościoła.

Przez ewangelizację w mocy rozumiem prezentowanie Ewangelii, która jest racjonalna, ale także przerasta naturalność.

Wy tłumaczenie Ewangelii przychodzi z objawieniem się mocy Bożej przez znaki i cuda. Ewangelizacja w mocy jest spontaniczna, inspirowana przez Ducha Świętego, pełna mocy. Ewangelizacja w mocy jest to działanie poprzedzające ewangelizację, wzmocnione nadprzyrodzonymi objawami Bożej obecności.

Przez takie nadprzyrodzone spotkania ludzie doświadczają obecności i mocy Boga. Zwykle zdarza się to w formie słowa wiedzy, jak tego doświadczył człowiek w samolocie, uzdrowień, prorocstwa, uwolnienia od złych duchów. W ewangelizacji w mocy opór wobec Ewangelii zostaje w nadprzyrodzony sposób zniszczony i otwarcie na głoszenie Chrystusa jest zwykle bardzo duże.

(niniejszy fragment książki Johna Wimbera Ewangelizacja w mocy został opublikowany na stronie eklezja.pl za uprzejmą zgodą Instytutu Wydawniczego Agape).